

W dyżurce imieninowa kawa. Pani Zofia, jedna z pielęgniarek, zaprasza na poczęstunek. Zebrały się trzy imienniczki oraz terapeutka, rozmawiają oczywiście o chorych. – Kiedyś, gdy jeszcze pracowałam na innym oddziale, jakiś facet przywiózł tu swojego ojca – zaczyna pierwsza, z uśmiechem zapowiadającym zabawną historię. – Weszli obaj, ojca zabrano do kąpieli, przebrano, a syn stoi w korytarzu i czeka. Elegancki, w krawacie. Wychodzi lekarz z gabinetu i pyta go o nazwisko, ten podaje swoje, oczywiście to, które nosił także ojciec. Za moment zjawiają się sanitariusze i łaps go. Nie pomagają żadne tłumaczenia i protesty, rozbierają go i kąpią. „Dobrze, dobrze, my tu tylko przeberzemy i zrobimy zastrzyk”. Już był w piżamie, gdy się zorientowali, że to pomyłka.

Kobiety śmieją się i wszystko wokół staje się pogodniejsze, nawet dziewczyna na portrecie jakby poweselała. – A czy kiedyś wam opowiadałam, co nam się przydarzyło, gdyśmy niedługo po wojnie transportowali chorych na Ziemię Zachodnie? – pyta najstarsza. – Jechaliśmy chyba w bydgoskie, bo tam szpitale stały puste. Wybrało się z każdego oddziału po kilku chorych i trzeba było ich tam zawieźć. Każdy z nich miał pod koszulą tabliczkę z nazwiskiem, a opiekunowie grup wieźli ich karty chorobowe. Jeden z chorych był garbusem. Zatrzymaliśmy się na jakiejś stacji, by się czegoś napić, i z powrotem pakujemy całą czeladkę do pociągu. A ten garbaty w krzyk, nie chce wejść, zapiera się, szaleje. Trzeba go było siłą wciągnąć do przedziału. Zastrzyk w tyłek i śpi. Patrzymy, a w grupie jest drugi garbaty, okazało się, że ten wciągnięty siłą był przypadkowym przechodniem. Gdy się zbudził, tak się ucieszył, że wszystko się wyjaśniło, że aż nam dziękował, że go puszczamy. Rozbawiły się, rozprężyły. Chorzy rozeszli się już do budynków swoich oddziałów, więc pielęgniarki przestały wodzić niespokojnie oczyma po sali, by zareagować na każde ich niewłaściwe zachowanie.

– Pamiętacie tego dusiciela, co był u nas na oddziale? – zaczyna następna. – Rzucał się na kobiety. Raz układałam leki, a on doskakuje i chwyta mnie za szyję. Obok schizofrenik froteruje podłogę, ale nie reaguje. Dopiero salowy mnie uratował.

– Był tu też pewien matematyk, bardzo niebezpieczny – przypomina sobie pielęgniarka siedząca obok. – Wchodzi raz w nocy do dyżurki i rzuca się na mnie. „Co ty tu robisz o tej porze? Do domu!” – krzyczy. Uciekałam przez okno i zatelefonowałam do lekarza dyżurnego.

– No, niby miał rację – żartuje terapeutka. – Baba w nocy powinna siedzieć w domu.

– Ten sam pacjent wpadał do dyżurki i wołał: „Siostró, zrób mi szybko zastrzyk, żebyś mnie nie uderzył. Zwiąż mnie”. A potem: „O, już możesz mnie rozwiązać”.

– Mnie pobiła pacjentka, epileptyczka, bo zobaczyła we mnie kochankę męża. Rozcięła mi łuk brwiowy, o, jeszcze mam ślad.

– Na naszym oddziale pacjent chodził z tapczanem na plecach.

– A u nas z muszlą na głowie. Ile siły mają chorzy w stanie pobudzenia!

– Kiedyś od chorych nasłuchiwał się człowiek o diabłach, piekle, świętych, łańcuchach, a teraz ciągle tylko kosmos, papież. Wszystko, czym ludzie żyją, odbija się w ich urojeniach.

Wchodzi ordynator, składa życzenia solenizantkom i siada

do imieninowej kawy. Nastrój stał się poważniejszy. Wszyscy rozpytują go o wczorajszą wizytę francuskich gości, psychiatrów i pielęgniarek, porównują warunki szpitalne i płace w obu krajach, liczbę zatrudnionego personelu, i wzdychają zazdrośnie.

– Gdyby tak jeszcze pojechać z pacjentami za granicę? – marzy głośno lekarz. – Dotąd bywaliśmy tylko na Węgrzech. Jak to zrobić? Alkoholicy częściej wyjeżdżają, ale inni chorzy? Wszystko

rozbija się o fundusze. Brak nawet pieniędzy na farby, płótna, papier i pędzle.

– Czy nie można na ten cel sprzedawać namalowanych tu obrazów? – pytam.

Spoglądają na mnie z uśmiechem pobłażania, najwyraźniej nie mam pojęcia o zawikłaniach przepisów i utrudnieniach przekreślających ten z pozoru prosty zamysł.

– By mieć prawo do sprzedaży dzieł naszych pacjentów, trzeba uzyskać zgodę wydziału handlu, ustalić ceny, podatki – wyjaśnia mi ordynator cierpliwie jak dziecku. – Pani sobie nie wyobraża.

Próbowałem przez to przebrnąć. Słuchając go, przypominam sobie inżyniera, który w proteście przeciw biurokracji spalił dokumentację w swoim zakładzie pracy. Normalny, zdrowy człowiek się na to nie odważy i będzie, pukając się w głowę, tych bzdurnych przepisów przestrzegał. Wracając, spotykam w pobliżu oddziału alkoholików Jerzego Olszaka. Siedzi na ławce. Przysiadam obok niego, rozmawiamy, oczywiście, o sztuce. W pobliżu stoją grupkami mężczyźni leczący się tu z nałogu, mówią głośno, wtrącając co rusz wulgarne słowa. Artysta zwraca się do mnie szeptem, ale gdyby nawet krzyczał, oni go nie zrozumieją, bo to, o czym opowiada, jest dla nich zupełnie

obce. I oni właśnie, niezdolni pojąć wartości obrazów malarza ani jego słów, patrzą na niego z pogardą i poczuciem wyższości, bo uważają, że przynależą do świata ludzi normalnych.

Nadjeżdża karetka milicyjna, wysiada z niej mężczyzna pilnowany przez funkcjonariusza, rozgląda się na prawo i lewo.

– Cześć, Bronek – witają go pacjenci stojący przed oddziałem. Odpowiada im uśmiechem. Milicjant wprowadza go do budynku i po chwili wraca. Samochód odjeżdża. Nagle przez okno wychyla się pielęgniarka i krzyczy: „Zamknijcie drzwi! Łapcie go!”

Dwóch mężczyzn stojących przed wejściem rzuca się za uciekającym, tym, którego właśnie przywiozła milicja. Chwytają go i wprowadzają z powrotem na oddział. Wszyscy ze śmiechem, klnąc siarczyście, komentują zajście. Tylko pan Jerzy obserwuje je z niesmakiem, on jeden nie ubawił się tą sceną.

– To przytłaczające – zaseplenił i wrócił do rozmowy o sztuce.

* * *

Następnego dnia znów zastałam go w fotelu przed Madonną, palił w milczeniu papierosa za papierosem, zamyślony, niedostępny. Był też ten drugi mężczyzna, z Oddziału Sądowego; na płótnie pod jego pędzlem wyrastały niebieskie lilie.

– Jeden z pacjentów chce podarować obrazek swojej dziewczynie i męczy mnie od miesiąca, żebym namalował mu te lilie – objaśnia, widząc, że patrzę, co robi. – To jedyny człowiek na moim oddziale, z którym mogę się dogadać, pozostali to demenci albo kryminaliści. Ciągłe awantury, język rynsztokowy, tam naprawdę nie da się żyć. Widocznie zasłużyłem na taki los, zabiłem, to fakt.

– Czy to było nieumyślne spowodowanie śmierci? – pytam.

– Nie, zabiłem w delirium – odpowiedział, nie podnosząc na mnie wzroku. Oboje w milczeniu rozważamy jego słowa. Zabił, lecz nie był świadomy, że zabija? Nie zamierzał zabić? Czy zatem jest winny?

– No, jestem zabójcą czy nie? Jak pani sądzi? – pyta, domyślając się treści moich myśli. – Sam się nad tym często zastanawiałem. Teraz już spokojnie mogę o tym mówić, czas robi swoje. Spodziewałem się, że wódka mnie wykończy, ale że uczyni mnie zabójcą? I to zabiłem bez motywu – dodaje po chwili. – To była starsza kobieta, wynajmowałem u niej pokój, nie miałem do niej żadnej złości, nawet ją lubiłem. Uderzyłem ją toporkiem do zbijania ram, a kiedy na drugi dzień znalazłem ją nieżywą, zawiadomiłem milicję i pomagałem im nawet szukać zabójcy. – Przerывa malowanie, nadal zdziwiony tym, co się wtedy stało. – Czy pani sobie wyobraża? Jeszcze szukałem zabójcy.

– Myślałam, że delirium przebiega inaczej. Widziałam tu tych nieszczęśników leżących pod kroplówką, w gorączce, walczących ze śmiercią.

– Ja miałem zespół urojeń. Może jest to związane z indywidualnymi predyspozycjami człowieka, jego konstrukcją psychiczną, sposobem picia? Piłem przez dwadzieścia lat, czyli odkąd stałem się dorosły. Nie zauważyłem, kiedy to picie przeszło w alkoholizm. Wiem, że od kilku lat musiałem stale pić, żeby egzystować. Gdy miałem pierwsze delirium, doznałem objawienia, rozmawiałem z Matką Boską, zwidywały mi się diabły. Chodziłem po Krakowie od kościoła do kościoła z krzyżem na piersi i prosiłem księży, by odprowadzili egzorcyzmy.

– I nie zadzwonili po karetkę?

– Nie, bo ja bardzo się starałem, żeby nie wyglądać na wariata, wyrażałem się poprawnie, logicznie. Wchodziłem do kościoła albo na plebanię i grzecznie pytałem księdza, czy można zamówić mszę

świętą za wypędzenie złych mocy. Ile pieniędzy wydałem na te nabożeństwa! Odmawiałem różaniec, ale diabły mi przeszkadzały, więc przeklinałem je i znów biegłem do spowiedzi. Wyraźnie widziałem te diabły wokół siebie, chodziłem całe noce po ulicach, żeby je zgubić, ale gdzie tam, ciągle były przy mnie. Poszedłem pod figurkę Matki Boskiej, tę, co stoi na Pędzichowie, posprzątałem wokół niej, zapaliłem znicze, a ona się do mnie tak ordynarnie zwraca. Odważyłem się powiedzieć: „Przepraszam, Maryjo, ale ten język marynarza...”. A ona: „Jak mam do Ciebie mówić, ty s...”. Pani się uśmiecha, ale wtedy to nie było dla mnie śmieszne, bo działo się wokół mnie, żyłem w piekle. Widziałem, słyszałem, więc jakże nie uwierzyć? Dopiero jeden z kolegów, który się tu leczył, zauważył, co się ze mną dzieje. „Znam – mówi – profesora, który był u magów na Filipinach, tylko on ci może pomóc”. „Szybko, zabierz mnie do niego”, prosiłem go. Wsadził mnie do samochodu i przywiózł tu, do Kobierzyna. Wszedł pierwszy do gabinetu, porozmawiał z lekarką, a potem wprowadził mnie. Lekarka wypytuje o jakieś nieważne dla mnie sprawy, a ja jej przerywam: „Pani doktor, muszę się widzieć z tym profesorem”. Wchodzi gość w kitlu, w okularach. „Czy pan jest tym sławnym profesorem?”, pytam. „Jest pan w szpitalu psychiatrycznym”, odpowiada. „Siostró, zastrzyk, kaftan, przywiązać do łóżka”, słyszę. Rano nie widziałem już diabłów ani Matki Boskiej. Następne delirium przebiegało inaczej.

– Następne? – dopytuję.

– Nie piłem aż osiem miesięcy, a to długo dla alkoholika. Bo alkoholik rozumuje tak: wypiję najwyżej dwa, trzy kieliszki, jak inni. Przecież mnie na to stać, mogę przerwać picie, kiedy zechcę. Po pierwszym kieliszku traci kontrolę, aż ocknie się po kilku dniach. Krach. Poczucie przegranej, małej wartości swojego życia, strach przed delirium. Idzie wtedy do lekarza, ten mu daje kokarboksylazę, glukozę, odtruwa organizm, mycie, strzyżenie, Relanium i powoli dochodzi się do formy. Wtedy człowiek staje się coraz bardziej pewny siebie i po dwóch czy trzech miesiącach znów przychodzi ten krytyczny moment. Nie może spać, jeść, trzęsie się, jakby był podłączony do prądu. Dziewczyna ciągnie do lekarza, ale wstyd mu się pokazać, bo się złamało obietnicę, idzie się więc do innego. I znów leki, glukoza, witaminy, dźwiganie w górę. Pięć razy miałem delirium, wie pani, czym się ostatnie skończyło.

– Nie próbował pan iść na odwyk?

– Już byłem na korytarzu u doktora Miki, dziewczyna mnie tam zaciągnęła. Ale zrobiliśmy jeszcze mały wywiadzik u jednego z pacjentów: „Powiedz, jak tu jest?”. Facet mówi: „Przyjdź, Mika fajny gość, sześć tygodni minie i wychodzisz. Miejsce co prawda nie ma, ja śpię na materacu”. „A pan który raz?”, pyta moja dziewczyna. On na to: „Siódmy”. To znaczy, że leczenie jest nieskuteczne, pomyślałem. I wyszedłem. Moja dziewczyna dużo mi pomogła. Jak ona się starała, by mnie z tego wyciągnąć. Wreszcie jej mówię: „Alkoholizm jest nieuleczalny, poszukaj sobie innego mężczyzny”. A tam w środku: nie odchodź, zostań. Odeszła jesienią, potem znów długo piłem. Zawsze przed piciem dzieje się coś, co człowieka zdenerwuje, a wtedy myśli: wypiję kieliszek, dwa, to mi pomoże. I budzi się po dużym piciu, trzęsie się, boli głowa, serce, męczą lęki. Nie możesz otworzyć butelki z alkoholem, to rozbijasz szyjkę o kaloryfer. Teraz problem, jak nalać, więc bierzesz butelkę w dwie ręce, nie możesz trafić do szklanki, tak się trzęsą. Podnosisz szklankę razem ze stolikiem, by tylko wypić pierwszych kilka łyków. Lepiej. Drugą porcję pijesz już przytomniej. I gdy wszyscy wokół zajmują się swoimi sprawami, ty myślisz, jak zdobyć wódkę. Zapłaci się każdą cenę, żeby tylko uniknąć delirium, natrętnych urojeń, omamów. W ostatnim delirium widziałem kłębowisko szczurów, uderzyłem największego – to była kobieta. Myśli pani, że opowiadam głupstwa. I to mi wolno, jestem chory psychicznie. Jednak zabójstwo jest faktem. W czasie śledztwa powołano biegłych, stwierdzili u mnie całkowitą niepoczytalność podczas popełnienia tego czynu. Wariatów się nie sądzi. Na podstawie artykułu 25 paragraf 1 *Kodeksu postępowania karnego* prokurator wystąpił z wnioskiem o umieszczenie mnie bezterminowo w psychiatrycznym zakładzie leczniczym. Czasem śnię, że mnie stąd wypuszczają. Odkąd tu jestem, zerwałem wszelkie kontakty z rodziną, przyjaciółmi, bo nie chcę litości, nie mogę też patrzeć na ich bezradność, kiedy chcą mi pomóc. Bywają u mnie tylko dwaj znajomi, na których wcześniej nigdy bym nie liczył. Nie ci od kieliszka, oni o mnie zapomnieli. Ja nigdy po alkoholu nie byłem agresywny ani nawet wulgarny. Gdy kumple się bili, wiałem, nie lubiłem awantur. Skąd nagle u mnie wtedy myśl, żeby uderzyć? I to podobno uderzyłem wielokrotnie.